

PORADNIK JĘZYKOWY

(założony w r. 1901 przez ROMANA ZAWILIŃSKIEGO)

ORGAN TOWARZYSTWA KRZEWIENIA POPRAWNOŚCI I KULTURY JĘZYKA

„Poradnik Językowy” zalecony został przez Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego dla szkół wszelkich typów rozporządzeniem Nr. II — 9864/32, ogłoszonym w Nr. 9 Dziennika Urzędowego Min. z r. 1932.



JAK UKŁADAĆ WYRAZY W ZDANIU POLSKIM.

I.

W jakim miejscu powinniśmy kłaść czasownik.

Układ wyrazów w zdaniu w różnych językach opierać się może na różnych zasadach: zależy to albo od ustalonego przez tradycję gramatyczną z w y c z a j u, albo od przygodnych o k o l i c z n o ś c i, wśród których zdanie bywa wypowiedane.

Układ zwyczajowy, opierając się na trwałej tradycji, nie ulega zmianom, jest dla pewnych typów zdań s t a ł y; układ okolicznościowy, przeciwnie, jest s w o b o d n y i może się w granicach jednego i tego samego zdania zależnie od okoliczności zmieniać.

W języku, na przykład, niemieckim układ wyrazów w zdaniu ma charakter wybitnie zwyczajowy i jest wskutek tego dla pewnych typów zdań stały, wyznaczając zawsze określone miejsce słowu orzekającemu: w zdaniu niezależnym oznajmującym zajmuje ono miejsce drugie, w zdaniu niezależnym pytającym — miejsce pierwsze, a w zdaniu zależnym — miejsce ostatnie, np. *er ist gut* — *ist er gut?* — *ich weiss, dass er gut ist.*

Zwyczajowym w pewnych granicach jest układ wyrazów także w języku francuskim. Z porównania takich zdań, jak, na przykład: *le père aime le fils* — *le fils aime le père* wynika, że w zdaniach oznajmujących podmiot kładzie się przed słowem orzekającym, a dopełnienie — po słowie orzekającym.

Jakież zasady panują w języku polskim? Odpowiedź na to pytanie zazwyczaj bywa formułowana w sposób następujący: układ wyrazów w zdaniu polskim jest swobodny, jakkolwiek niezupełnie dowolny; zwykle części zdania układają się w ten sposób, że po podmiocie nierozwiniętym (jednowyrazowym) lub rozwiniętym (wielowyrazowym) następuje orzeczenie nierozwinięte lub rozwinięte, np. *Ursynów leży o małą milę od Warszawy* (Słow.). — *Zniecier-*

pliwiona lokomotywa parowała kłębamii dymu (Prus). — *Rudawe trawy i pa-procie wałaly się w błocie i w żółtych trzcinach* (Żerom.).

We wszystkich tych zdaniach słowo orzekające następuje po podmiocie.

Bywa jednak nieraz inaczej. Oto zdania, w których słowa orzekające znajdują się przed podmiotem: *Wre dokola codzienne polskie życie. Głucho po czarnych szynach pędzą pociągi i padają hasła lokomotywy. Palą się martwym światłem elektryczne kule i chwieją się w mrokach podatne płomyki gazu. Biegną w ciemnościach polscy ludzie.* (Żerom.).

Rozbiór tego rodzaju zdań, jak tylko co przytoczone, doprowadzał wielu naszych gramatyków do wniosku, że określony wyżej zwykły układ części zdania ulega niekiedy zmianom i że na zmiany te wpływają czynniki *l o g i c z n e*, mianowicie, potrzeba uwydatnienia wyrazów, które mają w zdaniu szczególnejsze znaczenie.

Oto w najbardziej podstawowych ujęciach poglądy, jakie u nas dotychczas powszechnie panują na zagadnienie układu wyrazów w zdaniu polskim.

Tak przed kilkudziesięciu laty przedstawił to zagadnienie autor monografji, poświęconej układowi wyrazów w zdaniu słowiańskim. (E. Berneker, *Die Wortfolge im Slavischen*. 1901). Rozróżniał on trzy pozycje słowa orzekającego: początkową, środkową i końcową, i starał się udowodnić, że są one związane z pewnymi typami zdań: 1) położenie początkowe w zdaniach opowiadających, np. *Znikły lasy, ukazały się dymy i wieś uboga* (Prus), 2) położenie środkowe lub końcowe — w zdaniach opisujących i wyrażających sądy, np. *Z zagrody biała jarzębina wychyla się na ulicę.* (Krasz.). — *Prawda zawsze zwycięży.*

Istoty rzeczy szukać jednak należy gdzie indziej.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że czynnikiem, regulującym następstwo wyrazów w zdaniu polskim, nie jest jakiś ustalony zwyczaj gramatyczny, lecz zmieniające się od przypadku do przypadku sposoby ujmowania treści zdania przez osobę mówiącą. Są to czynniki, niewątpliwie, znaczeniowe, ale o charakterze nietylko logicznym, ile raczej psychicznym. Chodzi tu bowiem nie o związki logiczno-gramatyczne wewnątrz stworzonego już zdania między poszczególnymi jego częściami, ale o postawę psychiczną, jaką przybiera osoba mówiąca wobec treści zdania w toku jego tworzenia.

Treść zdania może się nie zmienić, związki logiczno-gramatyczne między poszczególnymi jego częściami mogą również pozostać bez zmiany, ale może się zmienić postawa psychiczna osoby, tworzącej zdanie. Wówczas zdanie, zachowując właściwą sobie treść logiczną i związki składniowe swoich części, zmienia porządek swoich składników wyrazowych. Z tego źródła wypływają takie oboczności składniowe, jak, na przykład: *Mickiewicz był największym poetą polskim.* — *Największym poetą polskim był Mickiewicz.*

Co wpływa na tę zmienność w układzie wyrazów? Zależy to od postawy psychicznej, jaką przybiera wobec treści zdania osoba mówiąca. Jeśli przedtem była mowa o Mickiewiczu, jeśli on był *p o d m i o t e m* naszego przemówienia lub rozmowy, to w takich okolicznościach zdanie przybiera pierwszą z przytoczonych wyżej oboczności. Jeśli zaś osnową przemówienia bądź rozmowy byli wielcy poeci, to w takich okolicznościach zdanie przybrać musi drugą z przytoczonych wyżej oboczności składniowych. I tu tak samo, jak w przypadku poprzednim, na początek zdania wysuwają się wyrazy, które zawierają znane już składniki zdania, a na koniec zdania odchodzą wyrazy, które do tych znanych składników dołączają coś nowego, przedtem nieznanego.

Mówiąc inaczej, na początek zdania wysuwają się zawsze wyrazy, które treść tego zdania wiążą albo ze znaną już treścią zdań poprzednich albo z daną bezpośrednio sytuacją zewnętrzną, wśród której zdanie wypowiedziane i do której treść jego odnosimy.

Zależnie od tych przyczyn słowo orzekające kładziemy po podmiocie gramatycznym, to znowu wysuwamy je na miejsce poprzedzające.

Jest to naczelną zasadą składni polskiej i nie można jej paczyć błędami przekonania, jakoby słowo orzekające musiało być zawsze po podmiocie gramatycznym.

Stanisław Szober.

JAK NAZYWAĆ PO POLSKU OWOCE ZWANE „GRAPE FRUITS”?

Chcąc dać nazwę właściwą popularnym już dziś w Polsce owocom, zwanym przeważnie po angielsku „grape fruits”, należy przede wszystkim wybić z głowy często powtarzane bałamuctwo, że są to niedawno wytworzone mieszańce cytryny z pomarańczą. Bajeczkę tę powtarzaną przez wielu przypieczętował jeszcze w druku pisarz sowiecki B. Pilniak, twierdząc w swych szkicach z podróży po Ameryce p. t. „Ou... Key” (przetłumaczonych na język polski), że owoc ten powstał niedawno dopiero w Kalifornji ze skrzyżowania cytryny z pomarańczą, wykonanego przez znanego ogrodnika-hodowcę L. Burbanka.

Jest to taka sama bajka, jak i owa „egipska pszenica”, wyjęta z grobowców faraonów i rzekomo zdolna do kiełkowania po paru tysiącach lat, jak i przysłowiowe polskie „gruszki na wierzbie”.

Tymczasem owoc ów pochodzący z południowo-wschodniej Azji był tam od wieków hodowany i wśród kilkudziesięciu gatunków rodzaju *Citrus* tworzy odrębny gatunek: *Citrus decumana* L. obok innych gatunków, jak *C. nobilis* Lour. — mandarynka, *C. medica* L. — cedrat, włoskie „cedro” (z którego grubej skóry przyrządzają cykatę; inna odmiana tego gatunku tworzy specjalny typ cytryn zwanych jabłkiem Adamowem lub rajskim, grających symboliczną

pliwiona lokomotywa parskala kłębami dymu (Prus). — *Rudawe trawy i paprocie walały się w błocie i w żółtych trzcinach* (Żerom.).

We wszystkich tych zdaniach słowo orzekające następuje po podmiocie.

Bywa jednak nieraz inaczej. Oto zdania, w których słowa orzekające znajdują się przed podmiotem: *Wre dokola codzienne polskie życie. Głucho po czarnych szynach pędzą pociągi i padają hasła lokomotywy. Palą się martwym światłem elektryczne kule i chwieją się w mrokach podatne płomyki gazu. Biegną w ciemnościach polscy ludzie.* (Żerom.).

Rozbiór tego rodzaju zdań, jak tylko co przytoczone, doprowadzał wielu naszych gramatyków do wniosku, że określony wyżej zwykły układ części zdania ulega niekiedy zmianom i że na zmiany te wpływają czynniki *l o g i c z n e*, mianowicie, potrzeba uwydatnienia wyrazów, które mają w zdaniu szczególniejsze znaczenie.

Oto w najbardziej podstawowych ujęciach poglądy, jakie u nas dotychczas powszechnie panują na zagadnienie układu wyrazów w zdaniu polskim.

Tak przed kilkudziesięciu laty przedstawił to zagadnienie autor monografji, poświęconej układowi wyrazów w zdaniu słowiańskim. (E. Berneker, *Die Wortfolge im Slavischen*. 1901). Rozróżniał on trzy pozycje słowa orzekającego: początkową, środkową i końcową, i starał się udowodnić, że są one związane z pewnymi typami zdań: 1) położenie początkowe w zdaniach opowiadających, np. *Znikły lasy, ukazały się dymy i wieś uboga* (Prus), 2) położenie środkowe lub końcowe — w zdaniach opisujących i wyrażających sądy, np. *Z zagrody biała jarzębina wychyla się na ulicę.* (Krasz.). — *Prawda zawsze zwycięży.*

Istoty rzeczy szukać jednak należy gdzie indziej.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że czynnikiem, regulującym następstwo wyrazów w zdaniu polskim, nie jest jakiś ustalony zwyczaj gramatyczny, lecz zmieniające się od przypadku do przypadku sposoby ujmowania treści zdania przez osobę mówiącą. Są to czynniki, niewątpliwie, znaczeniowe, ale o charakterze nietylko logicznym, ile raczej psychicznym. Chodzi tu bowiem nie o związki logiczno-gramatyczne wewnątrz stworzonego już zdania między poszczególnymi jego częściami, ale o postawę psychiczną, jaką przybiera osoba mówiąca wobec treści zdania w toku jego tworzenia.

Treść zdania może się nie zmienić, związki logiczno-gramatyczne między poszczególnymi jego częściami mogą również pozostać bez zmiany, ale może się zmienić postawa psychiczna osoby, tworzącej zdanie. Wówczas zdanie, zachowując właściwą sobie treść logiczną i związki składniowe swoich części, zmienia porządek swoich składników wyrazowych. Z tego źródła wypływają takie oboczności składniowe, jak, na przykład: *Mickiewicz był największym poetą polskim.* — *Największym poetą polskim był Mickiewicz.*

Co wpływa na tę zmienność w układzie wyrazów? Zależy to od postawy psychicznej, jaką przybiera wobec treści zdania osoba mówiąca. Jeśli przedtem była mowa o Mickiewiczu, jeśli on był p o d m i o t e m naszego przemówienia lub rozmowy, to w takich okolicznościach zdanie przybiera pierwszą z przytoczonych wyżej oboczności. Jeśli zaś osnową przemówienia bądź rozmowy byli wielcy poeci, to w takich okolicznościach zdanie przybrać musi drugą z przytoczonych wyżej oboczności składniowych. I tu tak samo, jak w przypadku poprzednim, na początek zdania wysuwają się wyrazy, które zawierają znane już składniki zdania, a na koniec zdania odchodzą wyrazy, które do tych znanych składników dołączają coś nowego, przedtem nieznanego.

Mówiąc inaczej, na początek zdania wysuwają się zawsze wyrazy, które treść tego zdania wiążą albo ze znaną już treścią zdań poprzednich albo z daną bezpośrednio sytuacją zewnętrzną, wśród której zdanie wypowiadamy i do której treść jego odnosimy.

Zależnie od tych przyczyn słowo orzekające kładziemy po podmiocie gramatycznym, to znowu wysuwamy je na miejsce poprzedzające.

Jest to naczelna zasada składni polskiej i nie można jej pacyć błędnymi przekonaniem, jakoby słowo orzekające musiało być zawsze po podmiocie gramatycznym.

Stanisław Szober.

JAK NAZYWAĆ PO POLSKU OWOCE ZWANE „GRAPE FRUITS”?

Chcąc dać nazwę właściwą popularnym już dziś w Polsce owocom, zwanym przeważnie po angielsku „grape fruits”, należy przedewszystkiem wybić z głowy często powtarzane bałamuctwo, że są to niedawno wytworzone mieszańce cytryny z pomarańczą. Bajeczkę tę powtarzaną przez wielu przypieczętował jeszcze w druku pisarz sowiecki B. Pilniak, twierdząc w swych szkicach z podróży po Ameryce p. t. „Ou... Key” (przetłumaczonych na język polski), że owoc ten powstał niedawno dopiero w Kalifornji ze skrzyżowania cytryny z pomarańczą, wykonanego przez znanego ogrodnika-hodowcę L. Burbanka.

Jest to taka sama bajka, jak i owa „egipska pszenica”, wyjęta z grobowców faraonów i rzekomo zdolna do kiełkowania po paru tysiącach lat, jak i przysłowiowe polskie „gruszki na wierzbie”.

Tymczasem owoc ów pochodzący z południowo-wschodniej Azji był tam od wieków hodowany i wśród kilkudziesięciu gatunków rodzaju *Citrus* tworzy odrębny gatunek: *Citrus decumana* L. obok innych gatunków, jak *C. nobilis* Lour. — mandarynka, *C. medica* L. — cedrat, włoskie „cedro” (z którego grubej skóry przyrządzają cykatę; inna odmiana tego gatunku tworzy specjalny typ cytryn zwanych jabłkiem Adamowem lub rajskim, grających symboliczną

rolę wraz z liściem palmy, mirtem i wierzbą u Żydów podczas święta kuczek), *C. limonia* Osbeck. — cytryna, *C. sinensis* (L.) Osbeck — pomarańcza, *C. Aurantium* L. — pomarańcza gorzka (niem. Pomeranze).

Z historii uprawy wiemy, że owoce te zjawiły się z Azji w wieku X-ym w Hiszpanji przez pośrednictwo Arabów, a w XI-ym wieku i we Włoszech po wyprawach krzyżowych wraz z cytryną i wcześniej niż pomarańcza, którą zaczęto uprawiać dopiero w XV-ym wieku, a jak twierdzą niektórzy dopiero w XVI w. dzięki Portugalczykom, którzy przywieźli te owoce z Chin. W pracy o drzewach p. t. „Dendrographia” (Frankfurt, 1662), wydanej przez Jana Jonstona z Szamotuł, lekarza nadwornego rodu Leszczyńskich z Leszna, widzimy dobry rysunek omawianego owocu pod nazwą „*Aurantium maximum*” z dzieła włocho Ferrari’ego p. t. „*Hesperides sive de malorum aureorum cultura et usu libri IV*” (Romae, 1646). Od paru wieków owoc *Citrus decumana* L. był uprawiany również na Antyllach w Ameryce, a dopiero w ostatnich czasach uprawa ulepszonych odmian rozpowszechniła się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej — we Florydzie i Kalifornji. Amerykanie zasmakowali obecnie w tych owocach tak, że stały się one modne w wielu krajach Europy. Owoce te są również hodowane i w Afryce Południowej.

Angielska nazwa „grape fruit” od grape = winogrono, fruit = owoc jest stosowana głównie do pewnych amerykańskich odmian o owocach mniejszych, zwieszających się na gałęziach w postaci grona. Rzecz ciekawa, że angielskie „grape” może oznaczać również „kartacz”. Czy nie stąd czasem pochodzi ta nazwa przez upodobnienie owoców do pocisków podobnie, jak to widzimy w nazwie „granat”, co oznacza zarówno owoc, jak i typ pocisku artyleryjskiego?

Zastanawiając się nad polską nazwą owocu, przychodzi na myśl, czy nie byłoby wskazane uwydatnić taką cechę, jaka tkwi w łacińskiej nazwie naukowej gatunku. Linneuszowska nazwa *Citrus decumana* (= *decimana* od łac. „*decem*” dziesięć) powstała dla uwydatnienia, że jest to owoc dużych rozmiarów. To samo podkreślono jeszcze bardziej w poprawniejszej nowoczesnej nazwie gatunkowej (wobec niedokładności opisu Linneusza) — *Citrus maxima* (Burm.) Merril. (*maximus* = największy).

Gdybyśmy użyli wynikającej z tych terminów nazwy „olbrzymka”, byłoby to niewygodne, gdyż musielibyśmy dodawać rzeczownik cytryna lub pomarańcza, co nie trafiałoby zresztą w sedno rzeczy, gdyż omawiany owoc, aczkolwiek pokrewny, nie jest jednak ani cytryną ani pomarańczą, a wśród jednych i drugich spotykamy odmiany zarówno małe rozmiarami jak i bardzo duże, np. pomarańcze z Jaffy.

Musimy więc zwrócić się do innych języków. Najbardziej rozpowszechnioną nazwą jest przywieziona przez Holendrów nazwa wzięta z języka krajowców Azji „P o m p e l m o e s”, która przyjęta została zarówno w języku

niemieckim jak i francuskim w odpowiedniej pisowni: „P o m p e l m u s” lub „P a m p e l m u s” (po niem.) i „P o m p e l m o u s s e” (po franc.). W języku angielskim istnieją jeszcze nazwy: „S h a d d o c k”, „P u m e l o” i „P u m m e l o”. W Indjach używane są ponadto nazwy: „P o o m l i - m a s, P u m p a l i - m a s, B a m b u l i - m a s, B o m b a r i - m a s a, P a m p a r a - p a n a s a, A m i l b ê d” oraz „J a m b o l e” na Ceylonie.

Nie sędzę, żeby było wskazane tworzyć specjalną nową polską nazwę z rodzimych pierwiastków lub klecić jakiś dziwoląg ze skojarzenia nazw cytryny i pomarańczy (co nie odpowiada istocie rzeczy); najlepiej więc wybrać nazwę wziętą z języków azjatyckich w tem brzmieniu, w jakim jest najbardziej rozpowszechniona na świecie, upraszczając ją nieco i dając polską końcówkę. Proponuję więc zamiast holendersko-niemieckiego „P o m p e l m u s” i angielskiego „P u m e l o” nazywać te owoce „Pompele”, przez analogję z cytryną i pomarańczą dając im rodzaj żeński tak, że liczba pojedyncza brzmiałaby „Pompela”. Byłby to wyraz prosty, łatwy do spamiętania, oparty na pierwiastku rodzimym ojczyzny owocu, bliski w swem brzmieniu z nazwą ustaloną w innych językach narodów kulturalnych.

Prof. dr. Bolesław Hryniewiecki.

CZY.

Wszyscy znamy dobrze drobne to słówko, choć niewszyscy uświadamiamy sobie, jak jest ono dogodne w języku i o ile poręczniejsze mamy w niem narzędzie od innych narodów. Poniższy szkic porównawczy niech to oświecili.

Język rosyjski używa w zdaniach pytajnych — oczywiście mowa tu o zdaniach, nie rozpoczynających się od *kto, jak, gdzie* itd. — partykuły *li*, która tem się różni od naszego *czy*, że nie zajmuje pierwszego miejsca w zdaniu. Podobnie jest w języku czeskim, z tą różnicą, że tu partykuła *li* nadaje zdaniu cechę bądź pytajnego, bądź warunkowego zdania. *Máš-li peníze* — znaczy *czy masz pieniądze* albo *jeśli masz pieniądze*. Czasem używa się w zdaniu pytajnem spójnika *zda*, ale rzadko. Podobnie rzadko używa się w języku serbsko-chorwackim słówka *zar* a w bułgarskim *zer*, i to tylko w pytaniach silnie podkreślonych, takich, które w polskim zaczynają się od *czyż*. Słoweńcy używają w tych wypadkach spójnika *ali*, który prócz tego, że jest rzadko używany, ma jednocześnie znaczenie *albo*, co jest oczywiście niedogodne.

Ogół języków romańskich i germańskich wyraża pytanie niezależne przez przestawienie miejsc podmiotu i orzeczenia (*tu as — as-tu, du hast — hast du, you have — have you*). Ale w tych z pośród nich, które nie używają zaimków przy odmianie czasownika, a więc we wszystkich romańskich prócz francuskiego, odpada i ten sposób zaznaczenia pytania w tych wypadkach, gdzie stoi sam

czasownik, tak że włoskie *hai*, rumuńskie *ai*, hiszpańskie *tiene*, portugalskie *tems* znaczy *masz* albo *czy masz*, co jest oczywiście niewygodne.

Pytanie zależne wszystkie języki romańskie, język angielski oraz języki skandynawskie, a ze słowiańskich czeski, zaczynają od *jeśli*, — rzecz również niedogodna, bo niczem się formalnie nie różni takie zdanie od zdania warunkowego (*jestli máš, si vous avez, if you have*).

Jak poręczny jest nasz spójnik *czy* zaczynający zdanie pytajne, niezależne i zależne, tego dowodzi między innymi używanie go w języku żydowskim (żargonie) daleko poza granicami Polski, w postaci *cy*, oraz wprowadzenie go w nieco zmienionem brzmieniu (*czu*) do Esperanta, co ogół esperantystów uważa za środek bardzo praktyczny, pomimo że, wychowani na innych zwyczajach swoich języków ojczystych, mogliby tej dogodności nie odczuwać, bo dla każdego zwykle są najdogodniejsze sposoby używane w jego języku ojczystym, a obce ocenia dopiero wtedy, gdy są wybitnie praktyczne.

Spójnik *czy* spełnia w naszym języku funkcję nieco podobną do znaku zapytania, z tą różnicą, że pytajnik stawia się na końcu zdania, wskutek czego przy czytaniu tekstu, zanim się pytajnik zauważy, niewiadomo, czy trzeba odpowiednio głos dostosować. Dlatego lepiej go porównać ze znakiem pytania, umieszczanym na początku zdania, jak się to robi zawsze w języku hiszpańskim, a często także w katalońskim i portugalskim; ma to od razu zwracać czytającemu uwagę, że ma do czynienia ze zdaniem pytajnym. Ale znak pytania istnieje w piśmie, a niema go w żywej mowie, podczas gdy nasze *czy* jest także w żywym języku. Z tego względu możnaby je porównać z angielskim *do* na początku zdania pytajnego, które jednakże jest ograniczone w użyciu, bo przy pewnej grupie czasowników nie można go stawiać, a prócz tego ma także inne znaczenie i spełnia inne funkcje, a więc nie jest tak dobitnym wyrazem pytania jak nasze *czy*.

Dlatego mając tak praktyczny, swoisty i nie pozostawiający wątpliwości sposób zaznaczania pytania niezależnego i zależnego, nie powinniśmy go niedoceniać i opuszczać pod wpływem obcym. Krótkie paruwyrzowe zdania mogą się oczywiście obejść bez *czy*, ale dłuższe złożone okresy — nie.

Józef Rossowski.

KILKA UWAG O TEM, W JAKIBY SPOSÓB NALEŻAŁO PRZEPROWADZIĆ ZMIANĘ PISOWNI.

Od czasu ukazania się ostatnich dwu wydań „Pisowni Polskiej” chaos, panujący w naszej ortografji, znakomicie się wzmógł: nawyrywki wprost, jedni zastosowali się do nowych wskazówek, inni nie; zdezorientowane jest i nauczycielstwo, jak świadczą liczne zapytania, napływające do naszej redakcji z tych

kół. Zapowiedziane przez Ministerjum W. R. i O. P. zwołanie Zjazdu ad hoc jakoś się opóźnia; konieczną jest rzeczą przyśpieszenie go.

W nadziei, że wkrótce do tego przyjdzie, pozwalam sobie wypowiedzieć parę myśli ze stanowiska szerokiego ogółu, jak zamierzona narada znawców odbyć się powinna, aby się nie powtórzyły niedociągnięcia 1918-go roku, które tak wybitnie zaważyły na częściowem niepowodzeniu ówczesnej akcji. Są one znane, nie będę ich przytaczał.

1. Przedewszystkiem znawcy, — najtrudniejsza to sprawa. Właśnie niektórzy znawcy — uczeni profesorowie — mówili w dyskusji, która wrzała tak niedawno i tak gorąco, o ortografji z takim lekceważeniem, że wprost obawa chwyta, jakby się do niej na naradach odnieśli; inni znawcy wprost pisali, że „zawodowi językoznawcy niebardzo się nadają do takiej roboty”. Oczywiście, przesada, niemniej jednak ostrzeżenie, że jednostronnie brać się do rzeczy nie można. Jakże więc? A no, trzeba chyba wybór członków narady powierzyć ciałom naukowym, które znajdą może złoty środek i wydelegują do tej roboty nie tylko krańcowo usposobione elementy. Drugim czynnikiem tu mogliby być przedstawiciele świata literatury pięknej, ludzie, co operują językiem na wyżynach sztuki; tylko, że wybór i tu jest nieco ambarasujący; wiemy dobrze, że świetni skąd inąd pisarze niezawsze celują w znawstwie języka, — wiele okoliczności się na to złożyło; i tu tedy nie sama dostojność powinna rozstrzygać. Jak ten punkt załatwić, co do tego powinny się wypowiedzieć instytucje literackie.

2. Gdy dostojny areopag zostanie utworzony, oddane mu do decyzji kwestje nie powinny — sądzę — być załatwione „od ręki” na jednym czy na paru posiedzeniach. Tworzy się tu prawa dla całego narodu, w zasadzie na czas jak najdłuższy, trzeba więc wszystkie środki wyzyskać, aby dojść do rezultatów możliwie najlepszych. Sądziłbym, że taki Zjazd powinien przygotować materiał, ale nie decydować spraw odrazu. Projekt powinien być oddany pod sąd opinji, aby całemu ogółowi dać możność uczestniczenia w pracy; wielu bowiem znajdzie się ludzi poza szczytłem gronem narady, którzyby mogli i chcieli wypowiedzieć swe zdanie; zamykać ust nie przystoi nikomu, bo później nie będzie prawa do moralnego zmuszenia jednostek, by się poddały opinji. Sumienne rozważenie nadesłanych uwag na drugiej kadencji narady (po paru miesiącach) będzie podłożem do decyzji. Wylamywanie się później z takiej decyzji, na którą każdy miał możność wpłynąć, byłoby już warcholstwem. Tej powagi nie miał właśnie Zjazd 1918-go roku. Dlatego choć zwolennicy uchwał jego wmawiają w naród, że posiadamy „pisownię państwową”, prawdą to nie jest; poddali się tylko ci, co — musieli.

3. Aby się nie powtórzyły groteskowe historie typu „czternastu przeciw trzynastu przy nieobecności czterech na sali”, uważam, że kwestje sporne rozstrzygane być powinny zdecydowaną większością głosów. Co nie skupi na sobie

przynajmniej 80% głosujących, nie dojrzało widocznie do decyzji; można te punkty odłożyć na później, a tymczasem dopuścić dwoistość; nic nas nie pili, aby sprawy rozstrzygane na szeregi lat, właśnie dziś czy jutro były rozstrzygnięte. W głosowaniu powinny być brane na uwagę opinie nietylko obecnych przy głosowaniu, — chwilowo nieobecny członek narady może wszak wyrazić zdanie swoje na piśmie; to nie są przecież oficjalne jakieś wybory; uzależniać zaś praw, pisanych na lata, od tego, że pan X czy Y chwilowo wyszedł na papierosa, niepodobna.

4. Ostatecznie powzięte decyzje narady, zatwierdzone przez czynniki ministerjalne, powinny być ujęte w formie słowniczka i w tej tylko formie powinny docierać do szerokiego ogółu. Oczywiście, motywy decyzji mogą i powinny być udostępnione ogółowi, ale łączenie ich ze słownikiem chybia celu: narzuca się wtedy wprost użytkownikom pęd do komentowania motywów, złośliwego nieraz oświatlenia ich i podważania powagi decyzji. Dziewięciu dziesiątych części użytkowników te motywy nic a nic nie obchodzą; korzyść z podawania ich nie zrównoważy możliwych niedogodności charakteru psychologicznego. Zresztą, co za cel pobudzać do dyskusyj, które wpłyną na decyzję już nie będą mogły? Zato słowniczek nie powinien być już zbyt oszczędny w wyborze materiału słownego, zwłaszcza, w wypadkach kłopotliwych; przeciwnie, takie wyrazy tem bardziej nadają się do słownika, a dotychczasowe wydania Akademji w tym względzie właśnie szwankują: całe szeregi wątpliwych form są tam wprost pomijane. Z drugiej strony wypisywanie w słowniku takich wyrazów, jak *anioł, dobrze, kabina, troisty* i t. d. i t. d. jest zgoła niepotrzebne; nie dla analfabetów się to pisze.

5. Nie należałoby, zdaniem mojem, uważać postanowień Zjazdu 1918-go roku za tabu nietykalne. Niewiele jest tam rzeczy niestrawnych, ale są niektóre nie do zniesienia (choćby ten sławny już *triumf* i wogóle ustęp o *i* w pierwszej zgłosce wyrazów obcych). Nie mam zamiaru przeprowadzać tu krytyki szczegółów, ale dałoby się to i owo w tym względzie powiedzieć.

6. Rzecz naturalna, że prawa, które mają obowiązywać całą Polskę, muszą uwzględniać różnice regionalne w wyrazach i podawać w razie potrzeby parę form, nawet choćby skandaliczne dla królewaków *szkandaly* i *szpinky*. Te różne w różnych dzielnicach wyrazy byłyby odznaczone znakiem regionalnym, aby nie narzucać ludziom niesympatycznych dla nich wzajem postaci; że formom stołecznym należałoby się pierwszeństwo (nie co do wartości, lecz co do miejsca), dowodzić chyba nie potrzeba; historii poprawiać nie można...

Tyle uwag charakteru ogólnego w zagadnieniu, jakby najpoważniej i najlojalniej załatwić sprawę zamierzonych zmian ortograficznych. Takie ostrożne przeprowadzenie reformy dałoby czynnikom patronującym jej moralne prawomocność wymagania posłuchu od społeczeństwa, — czy z rodzajem sankcyj, czy bez, to

już nie należy do rozważań niniejszego artykułu. Poglądy powyższe — objaśniam — są moją własnością osobistą i niczem przez wypowiedzenie ich w *Poradniku* samego pisma ani jego redakcji w tej materji nie wiążą.

J. Rzewnicki.

ZAPYTANIA I ODPOWIEDZI.

117. Zwrot *włącznie* z opakowaniem i kosztem przewozu poprawiono mi w liście handlowym na *włącznie opakowania i kosztów przewozu*. Przecież to źle?
(A. I., Warszawa)

(Rz) Oczywiście źle, — jest to żargon handlowy zupełnie pośledniego gatunku. W Pańskiej redakcji należałoby tylko zamiast *włącznie* powiedzieć *łącznie*, boć ma tu ten wyraz wprost znaczenie *razem z*. Jeżeli chce Pan użyć owego *włącznie*, to trzeba zdanie inaczej sformułować; albo *włączając opakowanie i przewóz* albo *z opakowaniem i przewozem włącznie*; poza-tem i ten „koszt” niepotrzebny: najprościej jest powiedzieć: *cena z opakowaniem i przewozem*.

118. P. Skiwski w „Pionie” wyrażenie właściwie mówiąc nazywa rusycyzmem; powinno się mówić rzekomo ściśle mówiąc. Dlaczego?

(—sz, Warszawa)

(Rz) Mojem zdaniem, jest w tem pewne przeczulenie. Mogę coś powiedzieć *właściwemi* słowy, a mogę użyć wyrazów nieodpowiednich, niewłaściwych; jeżeli tedy spostrzegę się, że powiedziałem niedokładnie, mam prawo się poprawić i użyć określenia *właściwszego*, co właśnie wyrażam skrótem *właściwie mówiąc*; dlaczegooby to miało być rusycyzmem? Niedawno gromił ktoś zwrot *krótko mówiąc*, widząc w nim germanizm. Obyśmy tylko tak barbaryzowali mowę!

119. To jest nic innego, jak cynizm — słyszy się nieraz; zdaje mi się, że powinno być to *nie jest nic innego, jak...*, bo polszczyzna wymaga dwu przeczeń; jak jest właściwie?
(L. L., Nieszawa)

(Rz) Tu tak, ale nie zawsze. *Mamy nic w zysku | nie mamy nic w zysku* — oba zdania mają właściwy sobie sens; oczywiście, pierwsze z nich nie jest właściwie zdaniem zaprzeczonem. Niekiedy próbuje się właśnie w podobny sposób nawet wzmacniać zaprzeczone zdanie; słyszymy np. *nie otrzymawszy jakiegokolwiek pomocy, zmarł obok żadnej pomocy*; czy to właściwe? gramatycznie może nie, ale wywalcza już sobie powoli prawo życia; w zdaniach np. z przyimkiem *bez* to się już zupełnie utarło: *bez żadnych trudności | bez jakichkolwiek trudności*, — i rzeczywiście ten drugi sposób zaprzeczenia jest mocniejszy.

120. Zarzucono mi, że w zdaniu w pierwszym rzędzie *należało się zająć ofiarą powodzi* popełniłem błąd; czy to rzeczywiście błąd? (Urzędnik)

(Rz) Zasadniczo, słuszną jest rzeczą, że mając takie określenia, jak *przewszystkiem, najprzód*, niema potrzeby się uciekać do innych, zwłaszcza pod obcym wpływem powstałych. Ale czy to *błąd*? Mamy w języku zwroty, które raz przez kogoś skarcone, powprowadzaliśmy z wiarą *in verba magistri* na indeks i wyklinamy je dalej, choć ustępować nie myślą; do takich zwrotów należy *w pierwszym rzędzie*. Może to, jak wyżej, i niepotrzebne, ale dlaczego ma być błędne? Jest to taksamo dobra przenośnia, jak inne, przytem mająca już dziś oparcie w istniejącym w języku przymiotniku *pierwszorzędny*; przymiotnika nie nazwie nikt błędnym, czemuż taka niełaska na *w pierwszym rzędzie*? Niby motyw, że *kalambur w pierwszym rzędzie balet podobał się panom w pierwszym rzędzie*, który jakoby przemawiał przeciw kwestjonowanej przenośni, nie jest poważny, bo w takim razie nie moglibyśmy ani *patrzeć na nikogo z góry*, ani *placić procentów dołu*, gdyż i tu nikt się nie będzie wspinał na górę, aby z niej spojrzeć na bliźniego, ani wlaził do dołu, by z niego zapłacić. Piętnowanie zwrotu jako *błędu* jest przesadą; ale przesadą w odwrotnym kierunku będzie tworzenie tu jeszcze dalszych *niepotrzebnych przenośni*: nie zgodziłbym się już naprz. na *w pierwszej linji*; lecz i tu nie dla istoty samej przenośni, lecz dlatego, że jest zupełnie niepotrzebna, a obcem tchnieniem nawiana.

121. Pracował jako nauczyciel; czy przed *jako* przecinek potrzebny?

(A. A., Berezno)

(Rz) Nie, — tu *jako* nie jest spójnikiem łączącym, lecz zastępuje przyimek *za*, lub np. wyrazy *w charakterze* (nauczyciela). Co innego: *jako nauczyciel, powinien był to a to zrobić* (w znaczeniu: ponieważ był nauczycielem); tu przecinek potrzebny; zresztą, sprawa przecinkowania nie jest u nas naogół unormowana i wiele jest pozostawione poczuciu osób piszących.

122. Jeden z Akademików Literatury pisze *profesorjat*; czy to forma właściwa? (L. B., Warszawa)

(Rz) Nie; ustalona jest postać *profesorat* (= profesura), jak *doktorat, rektorat, lektorat, inspektorat*. Mamy np. *dyrektorjat*, ale to pochodzi nie od *dyrektora* bezpośrednio, lecz raczej od *dyrektorjum*.

123. Do późna wieczór; co to właściwie jest ten *wieczór*? mianownik?

(A. H., Wilno)

(Rz) Mamy przysłówek *rano* i rzeczownik *rano*; mogło tedy zajść wprost upodobnienie, płynące z zestawienia *rano i wieczór chodziliśmy tam*. Puryści taki przysłówkowy *wieczór* zwalczają; takąż wskazówkę daje i Słow-

nik Warszawski; próżne to, zdaje się, usiłowania: dogodne skróty *od wczoraj wieczór, do dziesiątej wieczór* — nie dadzą się już usunąć i nie uważałbym tego za nieszczęście. Prof. Szober uważa to wprost za biernik czasu. Biernikiem mogłoby być i dlatego, że na podobieństwo zwrotu *do późna w noc* mogło to przejść przez stadjum *do późna w wieczór* i ulec skróceniu w wymowie. Krasiński jeszcze pisał: „*W wieczór, zrana zwierciadłana fala pije niebios smug...*”, — dziś *w wieczór* już w tym sensie nie mówimy.

124. Obesłać wystawę, sejm — czy to rzeczywiście germanizm?

(124/125, K. A., Poznań)

(Rz) Puryści czasownik ten w tem właśnie znaczeniu zwalczają, uznają go tylko w sensie obsyłania różnych osób czy miejsc pokolei. Mocnych jednak argumentów nie podają, a cały szereg podobnych czasowników właśnie pełni podwójną służbę: wyraża jednocześnie dośrodkową i odśrodkową czynność. *Obrzucam dom tynkiem* (= ujmuję go w powłokę tynku), *obrzucam pole kamieniami* (= rozrzucam je po polu), *obsadzam drogę drzewkami* (= ujmuję ją w rzędy drzew), *obsadzam miasta załogą* (= rozmieszczam w nich załogę), *obsypuję przyjaciela darami* (= skupiam dary w jego rękę), *obsypuję pole ziarnem* (= rozsypuję ziarno po polu). Zgodnie z tem mógłbym nietylko np. *obesłać wystawę piwem* czyli zaopatrzyć w nie różne placówki wystawy, ale i *obesłać ją eksponatami*, t. j. zzewnątrz je poprzysyłać. A więc chyba to byłoby powodem niełaski, że wyraz jest rzadszy w tym sensie?—ba, może właśnie dlatego rzadszy, że go się wyświeca... Ale skoro takiego stylisty, jak Sienkiewicz nie raził, może tu jest i nieco przesady. Co do *obesłania Sejmu*, to tu, powiedziałbym, wchodzi w grę pewien czynnik kurtuazyjny: posła nie *posyła* się do Sejmu, jak nie *posyła* się np. wojewody na posadę: pierwszego się *wybiera*, *obiera*, drugiego *mianuje*, *wyznacza*. To, że w samej nazwie posła tkwi *posłanie*, sprawy nie rozstrzyga, bo miano zrosło się tak ze stanowiskiem, że pochodzenia się tam już nie dochodzi. Dlatego *obesłania Sejmu* za kryształowy zwrot nie uważam.

125. Czy dobry jest zwrot (w uniwersyteckim sensie) na którym jesteś roku?

(Rz) W języku codziennym zwrot taki, istotnie, nieco by raził, ale w życiu uniwersyteckim stał się niejako terminem technicznym. Na uniwersytecie niema obecnie t. zw. dawniej *kursów*, są natomiast „lata studjów”. „Wykłady dla tego a tego roku studjów” — oto nagłówek, widniejący w corocznie wydawanych urzędowych Spisach wykładów. Inne wyższe szkoły mają semestry, i chyba nikogo nie dziwi powiedzenie: *jestem na piątym semestrze. Na drugim kursie — na drugim semestrze* — i, analogicznie, *na drugim roku*; studenci np. mówią: *zostałem na pierwszym roku*,

przeszedłem na drugi rok i t. p. — „studjów”, rzecz jasna, nikt tu nie dodaje.

126. Zdradza chęć do pracy, zdradza zamiłowanie do sceny — czy to źle?

(A. B., Warszawa)

(Rz) *Zdradzić* — znaczy *nie dochować wiary, sprzeniewierzyć się, podejść kogo, oszukać*; żadnemu z tych znaczeń nie odpowiada *zdradzenie zdolności*. Jest to więc rozszerzenie znaczenia wyrazu pod wpływem postronnym. Krasnowolski zwrot ten potępia, również Słownik Warszawski przed nim ostrzega. Istotnie, powiedzenie np. *zdradza przekonania* jest nawet dwuznaczne. Niemniej jest faktem, że formy tej używają dziś wybitni pisarze. Kto chce być ostrożnym, może często powiedzieć *zdradzić się z myślą, z zamiarem* i t. d.; chęć do pracy można równie *okazać, objawić, ujawnić*.

127. Piętnaście, pięćdziesiąt — czemu mamy tu tak uparcie trzymać się etymologii, kiedy nie trzymamy jej się gdzie indziej? A ten ostatni wyraz razem czy osobno?

(P. R., Warszawa)

(Rz) Osobiście najzupełniej zgadzam się z Panem, zwłaszcza, że nikt przecie tych wyrazów tak nie wymawia, jak pisze. Oby zamierzone zmiany pisowni to uwzględniły! — tymczasem jednak oficjalnie tak pisać musimy. *Gdzie indziej* IV wydanie „Zasad” Łosia pisze jeszcze osobno i to zupełnie słusznie, boć ani *kto inny*, ani *co innego* nikt łącznie nie napisze; to przecie co innego, niż *gdzieniegdzie, gdziekolwiek*. Ostatnie wydanie „Pisowni” wyrazy te łączy.

POKŁOSIE.

Podajemy na tem miejscu od czasu do czasu nadsyłane nam przez Czytelników wykazy błędów językowych tłumaczeń z języków obcych, nie dlatego, aby zdziwić kogo a tem mniej, aby uwiecznić próbki niewiedzy osób, co bez należytego przygotowania biorą się do przekładów, lecz dlatego, aby zwracać uwagę nakładców, komu pracę powierzają.

Dochodzą nas wprawdzie żale, że w ten sposób pozbawia się nieraz pracy osoby potrzebujące jej; jest łatwy sposób uniknięcia tego: jeśli się języka wystarczająco nie zna, nie puszczać w świat książek bez jakiej takiej choćby korekty.

Red.

„*Bawelna i krew*” Travena, tłumaczenie dr. Józefy Zang, wydawnictwo „Polskiego T-stwa Przyjaciół Książki”. Oba tytuły obowiązują, a jednak — oto jakie zwroty znalazłam w książce; podkreślam, że niektóre tylko, charakterystyczniejsze, tu przytaczam; uchybień innych jest tam cała moc.

str. 78 — straciłam wrażliwość na takie *finesy* cywilizacji — nietaktownie ucieka się tu tłumaczka do obcego wyrazu *finessa*, bo wpada w kolizję z innym wyrazem *fines*;

str. 82 — Europejczycy *mi to odzwyczaili* (= mnie od tego);

str. 98 — *gdyby to chociażby było* czterdzieści pesos, — wobec nieporadności tłumaczki zaczyna się wątpić, czy to błąd drukarski;

str. 119 — i nikt *nie ma w tem rozrywki irytować policji*;

str. 161 — a ja chyba *im jestem pewny* (dla nich, w ich mniemaniu);

str. 162 — *gdyby poszło według mnie... Podług ciebie? ...przecież wszystko szło podług ciebie*;

str. 210 — jeśli pan chce *renomować*, lub przepuścić gażę w jednej nocy... — owo *renomować* ma widać znaczyć *robić sobie renomę*;

str. 237 — Znam pana. — Pan mnie? *Nie wiedziałbym skąd*. Tak mówią chyba na karuzelach podmiejskich w niedzielę;

str. 237 — *Co mogę na to, że gdzie jestem, rozpoczyna się piekło?*

str. 265 — niech mi przypomina ciebie *całkiem jak ty jesteś* (takim, jakim jesteś czy też taką, jaką...).

I „co mogę na to”, że muszę te grzechy wypominać tłumaczce? Są tam i inne, ale dość przytoczonych, aby wyrobić sobie pojęcie o języku przekładu.

Z. S.

CO PISZĄ O JĘZYKU?

Dyskusja zasadnicza nad poprawnością języka, rozwija się dalej w dziennikach. Przeważają motywy dzielnicowości.

Prof. Wł. Tarnawski („Pro Varsovia” w 40-ym n-rze „Myśli Narodowej”), którego już pasowano na obrońcę dzielnicowych błędów południowej części kraju, piętnuje tym razem „zaściankową zawziętość” p. J. Ch., usiłującego, bez znajomości rzeczy, wytknąć Warszawie szereg przestępstw językowych („Iustr. Kurjer Codz.” z 3.IX — „Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni”). Prof. Tarnawski dosadnie charakteryzuje poziom tego rodzaju wystąpień: „wara od mieszania się w dyskusję zarozumiałym nieukom i pedanckim manjakom!” Warto przytoczyć i inne jego zdanie: „Niech poszczególne dzielnice Polski współzawodniczą z sobą w dbałości o czystość języka ojczystego, niech sobie nawzajem wytykają błędy. Nie obejdzie się przytem czasem bez krótkich spięć. Lecz i pokłócić się z sobą warto po bratersku, gdy wszyscy mamy ten sam chwalebny cel przed oczyma”. Albo jeszcze: „Ludzie z różnych dzielnic o szerszym horyzoncie umysłowym, naprawdę dbający o czystość języka, a przystępujący do pisania o tej sprawie z dobrą wolą i bez lokalnego zacietrzewienia, zawsze z sobą dojdą do ładu”.

Inny nieco posmak ma artykuł prof. Z. Łempickiego w „Kurjerze Pol-

skim" (nr. z d. 16.IX — „Kult piękna i kultura idjotyzmów, czyli o t. zw. poprawności językowej”). Mimo kilku trafnych i głębszych uwag, mimo systematycznego podziału materiału — artykuł jest niejasny. Autor zdaje się niechęcią obdarzać całą akcją poprawnościową wogóle, utrzymuje że: „...wszyscy przewodawcy języka, którzy rozwój jego krępowali zasadami gramatyki i stylistyki, tamowali ten rozwój i przygotowywali zagładę (?) języka”. Swoisty też jest pogląd, że „germanizmy są bardzo rozpowszechnione właśnie w b. zaborze rosyjskim, ponieważ w b. zaborze austriackim ludzie się ich wystrzegają”. No, i pokłon w stronę „ożywczych prądów niepoprawności”, a sama *poprawność* jest w ustach profesora „tak zwaną”, jej zaś rzecznicy „starszymi panami”. I naraz przerzuca się autor do własnych żalów nad psuciem języka. Określenia: *najoczywistszy idjotyzm, obrzydliwe brzmienie, ohydne wyrażenie* mówią o ich zabarwieniu. Jak tedy to wszystko rozumieć? Artykuł prof. Łempickiego stawia czytelnika na rozdrożu. Tak np. *Lector* („Słowo” z 18.IX) zrozumiał, że prof. Ł. „stanął w obronie «Galilei»”. Tenże *Lector*, przytaczając dłuższe ustępy artykułu, zaznacza: „Przykładów potworności językowych, urodzonych na gruncie warszawskim, dałoby się znaleźć o wiele więcej, ale... czy to rozgrzesza Galicję? A jeżeli zestawić błędy językowe te i tamte, czy można wątpić, która dzielnica zawiniła bardziej?”. A, no...

— Do artykułu prof. Tarnawskiego wraca jeszcze p. A. Chojecki w swym *Kąciku językowym* („Gazeta Warsz.” z 14 i 21.IX), poruszając słynną sprawę wyrazu *względnie* (p. Chojeckiemu nie chodzi o bezwzględne potępienie tego wyrażenia, lecz o jego nadużywanie) oraz domagając się od językoznawców, by byli nie tylko botanikami, ale i ogrodnikami językowymi. Mamy też w *Kąciku* uwagi pewnego czytelnika, który się zastanawia, kiedy zwrot *niezależnie od tego* jest właściwy, kiedy zaś nie. W tym wypadku subtelność chyba przesadna.

O tem, czy językoznawcy są botanikami, czy ogrodnikami, czytamy w bardzo dobrym artykule J. E. Skińskiego p. t. „Witaliści” (38 nr. „Pionu”). Używając wspomnianych określeń, powiemy, idąc za myślą artykułu, że dawniej uczeni byli ogrodnikami, dziś zaś są botanikami. Stwierdzili, że poprawność nie stanowi naukowego zagadnienia i zdają się wyciągać stąd wniosek, że poprawność wogóle nie jest zagadnieniem. Język żyje i rozwija się, profesor poprzestaje na badaniu tego życia, jest „witalistą”. Tu wtrącimy drobną uwagę: i uczeni mogą mieć i mają odmienne poglądy na te sprawy.

P. Skiński występuje dalej przeciw „pokrakom i kukłom językowym” (makaronizmy i słówka, zawierające odcienie znaczeniowe wyrazów) i przeciw mechanicznemu ujmowaniu mowy. Zakończmy cytata: „«Postęp» i «rozwój» języka, polegający na wypieraniu synonimów, a więc na zubożaniu języka, nie jest postępem, lecz uwstecznieniem, cofaniem języka do barbarzyństwa... Kto

widzi w tem «zdrowe tendencje rozwojowe», ten... zapatrzony jest w «ideal» języka, sprowadzonego do funkcji czysto mechanicznych, prostaczego, nie zrównoważonego... Witalizm tak rozlewny i tak tolerancyjny kryje w sobie zarodki nie życia, lecz śmierci — śmierci języka».

Nawiązując swe spostrzeżenia do artykułu Boya-Żeleńskiego o „Stylu kwiecistym”, „ABC” (z 19.IX) i „Pion” (z 29.IX) przytaczają z „Wiadomości Literackich” ustępy, szczególnie rażące tą właśnie szpetną kwiecistością. Posłuchajmy i my: „okrutny chłód tego poety, jego snycerska srogość, lapidarność formy, nie wyłączająca rzewnych omdlewań, jest jakby odpowiednikiem tragizmu lustrzanego zapatrzona, śledzenia własnych śladów i dopełnień w metamorfozach kształtów okropnie obojętnej przyrody” i t. d. Dodać tylko trzeba, że, jak to często bywa, i tym razem sprawa języka służy za narzędzie gry politycznej, czy konkurencyjnej. Z drugiej strony cytata zasługuje na uwagę i z tego względu, że wyjęta jest ze sprawozdania literackiego. Wiadomo zaś, jaką bolączką w życiu kulturalnym jest język większości krytyk literackich, zrozumiały często tylko dla ich autorów.

Innem echem alarmu Boya jest głos „Expressu Porannego” (z 9.IX — „Walka o słowo przytomne”). *Ixion* przypomina w tem piśmie uwagi Wacława Rzewuskiego „O piękności myśli” (z 1762 r.), tyczące się właśnie obchodzącej nas sprawy. „Piękności krasomowskie jedne są istotne, drugie obłudne — mówi stara książka. — Piękności krasomowskie są te, które próżnym tylko blaskiem zalicając się, bardzo daleko od prawdy są oddalone i odstrychnione”.

Ku przeszłości zwraca się również p. Mieczysław Smolarski („Kurjer Warszawski” z 30.IX), podnosząc zasługi Jana Samuela Kaulfusa, położone przezeń dla dobra i chwały polszczyzny w pierwszej ćwierci zeszłego stulecia.

Lwowskie „Sygnały” (nr. 10 — 11) zamieszczają zajmujący artykuł prof. H. Gaertnera p. t. „Niec o wyrazach złożonych w języku poetyckim”. Autor stwierdza, że w ostatnich czasach wzmogła się w literaturze fala tworzenia złożonych nowotworów (Żeromski, Berent, Staff, Żegadłowicz, Tuwim), ciekawych ze względu na swą wartość ekspresyjną.

P. J. Rossowski narzeka na „Modne skróty” („Polska Zbrojna” z 17.IX) w rodzaju *kilo*, *deka* (i *deko!*), *auto*, *kino*, *metro*, *foto*, *zoo*. Z *kinem*, wplecionem w polską odmianę, i z *kilo* już się chyba pogodzimy; gorzej jest z niepotrzebnem *zoo* (mamy *zwierzyniec*) lub szpetnem *foto*.

W „Kurjerze Poznańskim” (z 14.IX) prof. Ignacy Chrzanowski (nie Leon, jak podały pisma, które artykuł przedrukowały) pisze o dziejach pracy nad językiem, o miesięczniku „Język Polski”, a wreszcie przedstawia spis błędów, wyłowionych z jakiegoś dziennika warszawskiego. Nie wszystkie przytoczone wyrażenia zasługują, według nas, na potępienie, ale wiadomo, że w tych sprawach wrażliwość są różne. Chodzi naprzód o to, „żeby współpracownicy

pism codziennych, a przede wszystkim ich redaktorowie, goręcej niż dotychczas kochali i lepiej niż dotąd znali język ojczysty”.

Poprawnościowe uwagi prof. Chrzanowskiego przedrukowały dzienniki: „ABC” (z 14.IX), „Ilustr. Kurj. Codz.” (z 28.IX) i „Dziennik Kujawski” (z 21.IX).

Lubelskie „Ogniwo Nauczycielskie” (Nr. 7) zwraca uwagę na niesłychaną polszczyznę podręcznika do nauki łaciny na II klasę gimnazjum. Wprost trudno wierzyć podanym przykładom.

II Międzynarodowy Zjazd Sławistów — piszemy o nim osobno — wzbudził żywe zajęcie prasy stołecznej i prowincjonalnej, o czym świadczą obszernie nieraz sprawozdania z otwarcia Zjazdu, obrad, związanych ze Zjazdem, wystaw książek.

Naogół sprawozdania utrzymane są w tonie obiektywnym i życzliwym. Niezadowolone jest tylko wileńskie „Słowo”. Boczy się na mały (?) udział polskich uczonych (27.IX), to znów nie podobają mu się (28.IX) te czy owe referaty.

Zjazdowi, a ściślej biorąc — Mickiewiczowi, poświęcony jest w całości V zeszyt „Języka Polskiego”.

Dwie zamieszczone tam rozprawki: K. Nitscha „Z zagadnień języka Mickiewicza” i S. Pigionia „Na marginesie autografów «Pana Tadeusza»” omawia M. Małecki, nazywając pracę Pigionia „wprost rewelacyjną” („Ilustr. Kurj. Codz.” z 2.X).

A. S.

* * *

Przypisywaliśmy zachwaszczenie języka wpływowi zaborców, tymczasem, po odzyskaniu samodzielności państwowej, nie tylko się ono nie zmniejsza, ale czasem nawet się zwiększa.

W n-rze 255 dziennika „A. B. C.” był artykuł pod tytułem: „W obronie czystości języka”, omawiający spostrzeżenia prof. I. Chrzanowskiego, dotyczące polszczyzny w prasie. Ten właśnie artykuł nasunął mi uwagi, którymi pragnę się podzielić z Czytelnikami.

P. prof. Chrzanowski zaleca redakcjom, wśród innych, rozczytywanie się w klasycznych autorach polskich. Jest to niewątpliwie sposób dobry, lecz zakrojony na daleką metę; skutków większego znaczenia możnaby oczekiwać u pokoleń następnych. A tu jest *periculum in mora*. Prasa c o d z i e n n a powinna więc przystąpić natychmiast do uzdrawiającego działania. Dlaczego prasa? Dlatego, że dzieła klasyków i piękna literatura są dostępne tylko ludziom, których stać na książki i którzy mają czas na rozczytywanie się w literaturze pięknej. Tych było zawsze mało, a obecnie w ciężkich warunkach bytu, w czasach walki o chleb powszedni i wśród trosk codziennych jest ich coraz mniej. Natomiast dziennik, który dociera do najszerszych warstw społeczeństwa, może pod wzglę-

dem języka przynieść największy pożytek, jako też i wyrządzić największe szkody. Przez dzienniki więc trzeba działać, ale na to dzienniki muszą zmienić swój stosunek do języka.

Fr. Moskwa.

II MIĘDZYNARODOWY ZJAZD SLAWISTÓW.

Wrażenia.

W dniach od 23 do 30 września r. b. obradował w Warszawie i w Krakowie II Międzynarodowy Zjazd Sławistów, w którym brało udział przeszło 350 uczonych z 20 państw europejskich. Komitet Organizacyjny stanowili: prezes prof. J. Rozwadowski z Krakowa, wiceprezes prof. St. Słoński, skarbnik prof. St. Szober i sekretarz generalny prof. W. Doroszewski — z Warszawy. O pracach Zjazdu prasa nasza pisała szeroko, podnosząc jego znaczenie naukowe, kulturalne i propagandowe; na tem miejscu chcielibyśmy podkreślić w tej chwili tylko momenty bardziej charakterystyczne, a także podzielić się z czytelnikami garścią wrażeń z pism zagranicznych, dochodzących nas jeszcze z wielu stron. Tymczasem pomijamy zagadnienia językoznawcze, bardziej specjalne; omówimy je w jednym z najbliższych numerów.

Z pośród kilku tegorocznych kongresów ten ostatni, poświęcony zagadnieniom językowym, literackim i społeczno-kulturalnym świata słowiańskiego wywołał wśród naszej publiczności najżywsze echo i to może nie tylko dlatego, że był zbiorowym hołdem, złożonym przez świat słowiański i pozasłowiański Mickiewiczowi, ale dlatego również, że był, jak to już podkreślano — najbardziej „polskim” ze Zjazdów. „Polskość” jego wyraziła się w tem, że zagraniczni uczestnicy niejednokrotnie zabierali głos w sprawach naszej literatury czy kultury, że nieraz w naszym języku przemawiali, że się go często słyszało w rozmowach z ust Włochów, Niemców, Czechów, Jugosłowian. Niektórzy porywali swadą i pięknem wysłowienia, jak np. prof. G. Maver z Rzymu. Na uroczystym posiedzeniu w Krakowie mówił on o Mickiewiczu jako o genjuszu, „który objawił się jako natchniony poeta, bystry polityk i głęboki uczoney i którego prelekcje są dla nas cennym drogowskazem w naszych pracach i w wierze w wartość i skuteczność naszego trudu”.

Niemniej godne jest podkreślenia piękne francuskie przemówienie wielkiego przyjaciela Polski, p. P. Cazin'a, słynnego tłumacza dzieł naszej literatury, a przedewszystkiem „Pana Tadeusza”.

Szereg referatów poświęconych Mickiewiczowi (w ogólnej liczbie siedemnastu) wykazał dobitnie, że imię polskiego wieszczka jest szeroko znane i czczone zagranicą, a przedewszystkiem w krajach słowiańskich, jak Czechosłowacja i Jugosławja.

Ale nie tylko Mickiewicz cieszy się takim rozgłosem u naszych pobratym-

ców. W rzędzie wielkich twórców, których imię utrwaliło się np. w Czechach, możemy wymienić ponadto Orzeszkową, Prusa, Zapolską, Sieroszewskiego, a przede wszystkim Sienkiewicza. Uwidocznili to dr. Josef Bečka w interesującym zestawieniu przekładów polskich w literaturze czeskiej po wojnie światowej. Z zestawienia tego wynika, że największą poczytnością wśród Czechów przed i po wojnie cieszył się Sienkiewicz, którego dzieła doczekały się ogółem aż 27 przekładów i 13 wydań. Z nowszej literatury największą popularność zdobyli sobie F. Goetel i J. Kaden Bandrowski.

Trudno omawiać na tem miejscu interesujące referaty, dotyczące literatury polskiej jak np. d-ra J. Birkenmajera o genezie „Bogurodzicy”, prof. K. Górskiego o „Dziadach” drezdeńskich, d-ra L. Płoszewskiego o prelekcjach paryskich Mickiewicza albo dr. Z. Szmydtowej o echach platońskich w twórczości Mickiewicza — oraz obszernie dyskusje, które się rozwijały dokoła tych tak podstawowych zagadnień.

Z kwestyj najbliższej nas tu obchodzących wspomnimy jeszcze o pracach sekcji dydaktycznej, w której omawiane były także: nauczanie języka polskiego i literatury polskiej w szkołach. Z warszawskich uczestników o dzisiejszym stanie dydaktyki języka polskiego w szkole średniej mówił instruktor Ministerstwa W. R. i O. P. dr. Władysław Szyszkowski. „O wartościach kształcących i wychowawczych w nauczaniu języka ojczystego” wygłosił odczyt prof. Stanisław Szober.

Wśród rezolucyj i wniosków, złożonych do Prezydium Zjazdu jest kilka innych niemniej ważnych, jak np. wniosek czeskich profesorów: Pražáka, Horáka oraz prof. Doroszewskiego, sekretarza generalnego Zjazdu, o utworzenie międzynarodowych komisji celem przygotowania w każdym kraju prac na przyszły kongres Slawistów, mający się odbyć w r. 1939 w Jugosławji. Realizacja tych doniosłych projektów, pomijając już stronę naukową i propagandową Zjazdu, będzie stanowić trwałą plon tej kilkudniowej wspólnej pracy uczonych.

Wśród pozytywnych osiągnięć Zjazdu należy przede wszystkim wymienić więź wzajemnej sympatji i porozumienia, jaka łączyła jego różnojęzycznych uczestników z Polską i z polskimi uczonymi jako gospodarzami. Uderza to w sprawozdaniach pism zagranicznych o Zjeździe. Wspomnimy tu o obszernych artykułach p. J. Bečki (cytowanego już wyżej), w których obok uwag ogólnych o kulturalnym stanowisku Polski nie brak i słów gorącego uznania dla organizacji Zjazdu. Piękny artykuł w jednym z pism praskich poświęcił Zjazdowi prof. J. Páta. Życzliwych słów nie szczędził nam p. M. Kolaja, korespondent brneńskich „Lidové noviny”. Nakoniec niepodobna pominąć, skoro mowa o głosach z zagranicy, dwu artykułów napisanych przez uczestników Zjazdu, prof. van Wijka z Leydy i prof. J. Horáka z Pragi. Uczony holenderski podkreśla z uznaniem (Maasbode — Rotterdam 3.X.1934) udział w Kongresie tak wielu

narodów słowiańskich i niesłowiańskich, dobrą organizację, miły nastrój, jaki panował od początku do końca obrad oraz poparcie, jakiego doznał Kongres ze strony rządu polskiego.

Artykuł prof. Horáka (Prager Presse 3.X.1934) podnosi z pełnym zrozumieniem i wysokim uznaniem trud Komitetu Organizacyjnego, a w szczególności Sekretarza Generalnego, któremu w pracach czynnie dopomagali „współpracownicy z pośród warszawskich studentów wydziału humanistycznego”. Za serdeczne braterskie słowa uznania winniśmy prof. Horákowi żywą wdzięczność.

Henryk Friedrich.

SPOSTRZEŻENIA DORAŻNE.

Po *ekipie* ministrów francuskich (mowa o gabinecie Doumergue'a) fantazja dziennikarska dała nam znów parę świeżych *ekip*. Wspomnę o dwu:

...pognała na ratunek *ekipa pompierska* (czyli straż ogniowa), — my, *ekipa Marszałka*, powinniśmy i t. d., prawie to samo, co wspomniana już na innym miejscu *ekipa ludzi dobrej woli*.

Dobrze idzie...

* * *

„Centrocosie”.

Ostatni spis abonentów warszawskiej sieci telefonicznej wymienia następujące pozycje: *Centroblok, Centroceluloza, Centrocement, Centrochem, Centrochemja, Centrodrożdże, Centrograf, Centrogum, Centrohandel, Centroleum, Centrolin, Centro-okuc* (1), *Centropapier, Centrophon, Centropon, Centroprzewód, Centrosprzęt, Centro-Światło, Centroszlis, Centrotektura, Centrowag, Centrowelna, Centrozwir*. Aczkolwiek większość wymienionych „centrów” to pospolita blaga handlowa, to jednak mamy tu i poważne ugrupowania firmowe, reprezentujące we wspólnych miejscach sprzedaży całe gałęzie rodzimego przemysłu; i wszyscy ci — i wielcy, i mali — powypisywali pod wpływem obcym na sztandarach swojej działalności nazwy, świadczące o zupełnym braku poczucia języka. Można się nie dziwić „*Centro-okuc'owi*”, ale *Centrocement, Centropapier, Centroprzewód* — to już źle...

Owemu zaraźliwemu „centropędowi” koniecznieby należało położyć kres. *Centrum handlu papierem* nie może się nazywać *Centropapierem*; byłoby to raczej *Papierocentrum*, gdyby takie połączenie było możliwe; ale możliwe nie jest i dlatego moglibyśmy mówić w skrótach tylko o *Centrum papieru, Centrum cementu, Centrum przewodów*, co znów, niewiadomo, czyby było handlowo dogodnie. Najwłaściwiej jest mówić o *Centralnym Składzie Papieru, Cementu, Przewodów*, a wtedy i innym bliższym „centrom” możeby zabrakło tupetu do nadużywania określeń nienależnych im.

Rz.

INFORMACJE OGÓLNE.

W redakcji są do nabycia spisy błędnych i mniej właściwych zwrotów języka, używanego w biurach i urzędach: Spis Nr. 1 (w drugim wydaniu) i Spis Nr. 2, — zeszyt po gr. 40 (z przesyłką 50 gr.). Należność prosimy przesyłać w znaczkach pocztowych przy zamówieniu.

Pozostałe egzemplarze pracy ś. p. Red. Romana Zawilińskiego p. t. „Dobór wyrazów” zostały powierzone do sprzedaży „Naszej Księgarni”, Warszawa, S-tokrzyska 18. Pierwotną cenę zł. 30.— zniżono obecnie do zł. 10.—.

Redakcja posiada dawne roczniki „Poradnika”: 1903, 1904, 1907, 1909, 1923, 1925, 1926, 1929, 1930, 1931, 1932 i 1933; odstępuje je po cenach następujących: roczniki do roku 1909 włącznie po 1 zł., 1923 — 0,50 zł., 1925, 26, 29, 30, 31 — po 2 zł., 1932 — 5 zł., 1933 — 8 zł. Za komplet 10 roczników (1903-31) — 12 zł., przy pojedynczych tomach doliczamy koszty pocztowe, przy większej liczbie nie. Luźnymi zeszytami w ograniczonej liczbie służymy po 30 gr. za zeszyt; rok 1932 (dla prenumeratorów) — po 50 gr., lata 1933 i 1934 — po 80 gr.

Reklamacje co do nieotrzymania zeszytów prosimy przysyłać do administracji, najpóźniej z nadejściem następnego zeszytu. Przy reklamowaniu po upływie całych miesięcy żadne sprawdzenie nie jest możliwe i dlatego takie zeszyty będziemy obliczać osobno.

Na zapytania dotyczące poprawności języka naogół odpowiadamy w najbliższym zeszycie; na żądanie — listownie za nadesłaniem znaczka pocztowego. Wszyscy zapytujący zechcą podawać swoje adresy, nie każde bowiem zapytanie nadaje się do roztrząsania w druku, bo nie każde zaciekawia ogół czytelników, — zresztą i powtarzać się nie możemy. Bez adresu tedy zapytanie takie musi pozostać bez odpowiedzi. Zapytania podpisywać można inicjałami. Przy redakcji czynna jest poradnia językowa, która zapytania nie do druku załatwia indywidualnie.

Redakcja zastrzega sobie prawo wprowadzania do nadsyłanych artykułów nieistotnych zmian i skrótów bez odwoływania się do autorów.

Godziny redakcyjne 4 — 6 po poł.; za uprzednim porozumieniem — w każdym czasie.

REDAKTOR: PROF. WITOLD DOROSZEWSKI

WYDAWCA W IMIENIU ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO:
STANISŁAW MACHOWSKI

KOMITET REDAKCYJNY: JAN RZEWNICKI, PROF. STANISŁAW
SŁOŃSKI, PROF. STANISŁAW SZOBER
